

Jan L. Kochanowski

LOPIENNICKI WRZESIEŃ 1939

Wspaniała słoneczna pogoda ostatnich dni sierpnia sprzyjała apogeum prac zniwnych. W naszym majątku zboża szybko znikwały z pól, rosły sterty, zapępniały się stodoły, rozpoczęto już podorywki. W sobotę drugiego września miało się u nas odbyć okrężne (dożynki). Zadbano wcześniej o poczęstunek dla okrężników. Została zakwaszona wielka beczka ogórków, a pęta kielbasy z ubitego właśnie wieprzka wędziły się na „wolnym” dymie.

Starsi co raz częściej rozmawiali o grożącym wybuchu wojny, do mnie jednak treść tych rozmów nie bardzo docierała. Byłem bowiem zaabsorbowany tym, że już w poniedziałek, czwartego września wyjadę do Lublina na pensję p. Papieskiej i zostanę uczniem ostatniej klasy szkoły powszechnej. Przyjdzie rozstać się z łopiennickim parkiem, polami, łąkami i lasem. Nie potrafiłem sobie odpowiedzieć na pytanie, jak bez tego wszystkiego będę mógł żyć. Do wyjazdu brak mi było zupełnie entuzjazmu i skrycie myślałem, że ewentualny wybuch wojny, może ten wyjazd opóźnić a może nawet wykluczyć. Na moją dziecianną świadomość widocznie tak zadziały hasła z plakatów „Silni – Zwarci – Gotowi”, że zajęcie Zaolzia, dla mnie – jedena-stolatka, stało się naszym wielkim sukcesem militarnym, więc nawet gdyby wybuchła wojna, to o jej wynik byłem zupełnie spokojny.

Moją świadomość o grożącym wybuchu wojny wzbudziło dopiero następujące zdarzenie. Otóż, bodajże 30 sierpnia, Ojciec przywiózł od krawca w Lublinie swój nowiutki mundur wojskowy i na prośbę domowników przyszedł w nim na kolację. Wiedziałem, że w 1918 roku zaciągnął się ochotniczo do 7 Pułku Ułanów stacjonujących wówczas w pobliskim Kraśniku i walczył z bolszewikami. Byłem też święcie przekonany, że został wówczas oficerem. Dlatego widząc Ojca w mundurze plutonowego żandarmerii – zdębiałem. Jak to się stało, że został nie lubianym przez żołnierską brać „kanar-kiem”, czyli takim wojskowym policjantem, który ściga żołnierzy bez przepustek. Gdzie są ułańskie proporczyki na kołnierzu i gwiazdki na epoletach? Zamiast nich, jedynie przy prawym ramieniu oj-cowskiego munduru kłuł wzrok akselbant koloru jajeczniczy, a na epoletach trzy skromne belki plu-

tonowego. Ponieważ nie tylko ja miałem podobne wątpliwości odnośnie munduru, Ojciec wyjaśnił, że był w 7 Pułku Ułanów i walczył z bolszewikami, ale gdy w 1920 została w Warszawie znacznie roz-budowana Francuska Misja Wojskowa, to z uwa-gi na znajomość języka francuskiego został do niej odkomenderowany jako tłumacz. Podlegał wów-czas służbowo Komendzie Głównej Żandarmerii Wojskowej, która poza nazwą nie ma nic wspólne-go z Żandarmerią Polową, ścigającą żołnierzy bez przepustek. Niuanse w rodzajach żandarmerii do mnie nie docierały, a dziecienny zawód pozostał.

Ponieważ poprzedniego dnia kilku pracow-ników dworskich otrzymało już karty mobilizacyj-ne, Ojciec postanowił, że jeżeli następnego dnia karty nie otrzyma, to 1 września zgłosi się telefo-nicznie do dyspozycji gen. Mieczysława Smora-wińskiego, ówczesnego dowódcy DOK w Lubli-nie. Generał bywał u nas na polowaniach, zwykle kończących się później brydżem. Chodząc na te polowania w nagonce zapamiętałem dobrze syl-wetkę generała. Utkwiła mi zwłaszcza w pamięci barwna, kilkurzędowa „łaczka” baretek or-derowych na jego mundurze. Ta sama „łaczka” była jeszcze nieco widoczna na zdjęciu szcząt-ków generała publikowanych w prasie gadzino-wej po odkryciu masowych grobów w Katyniu, w 1943 roku. Dobrze, że ani pierwszego, ani tym bardziej w dniach następnych, Ojciec już się do generała nie dodzwonił. Może to uchroniło Go od podzielenia tragicznego losu generała?

Pierwszego września, jeszcze przed śniadaniem, wiedzieliśmy już wszyscy o wybuchu wojny. Radio-odbiornik nadawał orędzie prezydenta Mościckiego i nic nam nie mówiące skróty literowe ze złowrogim dodatkiem „nadchodzi” a po pewnym czasie „prze-szedł”.

Dzień, jak zresztą wiele następnych, był pogodny z tym, że dość długo, chyba do południa, utrzymy-wało się przyziemne zamglenie. Od rana słychać było warkot lecących wysoko samolotów. Był to jednak jakiś dziwny warkot, inny od słyszanego do-tychczas, na co dzień. Później, gdzieś daleko słychać było przytłumione grzmoty. Byliśmy przekonani, że to odgłosy przeciągających strunami burz.



Autor pokazuje siostrze Izabeli 3 września 1939 r. przelatujące samoloty niemieckie

W naszym, zabitym deskami świecie, czyli w Łopienniku w pierwszych dniach wojny i później poza przemieszczającymi się uchodźcami właściwie niewiele się działo. Jedynie na bezchmurnym niebie widać było klucze przelatujących niemieckich bombowców i słychać dalekie huki. Już nie mieliśmy wówczas wątpliwości, że to nie są odgłosy dalekiej burzy, ale bombardowanie. Później, gdy przez kilka dni z polowego lotniska w niedalekim Radawcu startowała Warszawska Brygada Pościgowa, dochodziło nad naszą okolicą do licznych walk powietrznych. Atakowane przez nasze myśliwce szyki niemieckich eskadr rozpadały się. Było wówczas dużo strzelaniny i powietrznych gonitw, ale wbrew moim oczekiwaniom, nic więcej się nie działo. Raz tylko widziałem lecący nad samym lasem niemiecki bombowiec, któremu z jednego

z silników trochę się dymiło. Innym razem nad horyzontem ukazał się opadający powoli spadochron, a że i u nas panowała psychoza zagrożenia ze strony dywersantów niemieckich, w jego kierunku, drabiniastym wozem ruszyła pędem powstała samorzutnie grupa pościgowa uzbrojona w dubeltówkę, widły i coś tam jeszcze. O mało się nie popłakałem, gdy mnie z moim małym kalibrowym flowerem nie pozwolono uczestniczyć w obławie. Prawdę powiedziawszy nie przyniosła ona żadnych rezultatów.

Określone zostało odwołane, a Ojciec zdecydował, że w niedzielę 3 września prace polowe będą kontynuowane. Tego dnia, na godz. 7 rano zapowiedziała się na pobór koni komisja remontowa z 24 Pułku Ułanów z Kraśnika. Ten wojenny remont różnił się zupełnie od poprzednich, pokojowych.

Zamiast zasłanych zielonym sukniem stołów, wygodnych foteli a obok stolików ze stosami kanapek, napitkami, a później sutej kolacji, przyjechało trzech oficerów w polowych mundurach. Polecili wyprowadzić ze stajni 10 wybranych przez siebie koni i przyglądali się im w chodzie i w biegu. Kilka odesłali do stajni a pozostałe zabrali ze sobą pozostawiając Ojcu asygnaty ze stosunkowo wysokimi wycenami. Ojciec przechowywał je pieczołowicie przez całą wojnę do czasu aresztowania go przez NKWD we wrześniu 1944 roku. Niepoczyszona była moja siostra Izia, której imieniny wypadły akurat w dniu remontu. Zmobilizowana została bowiem jej ulubiona gniazda klacz Basia. Natomiast mój ulubiony deresz, nie przypadł widocznie wojakom do gustu i mogłem go od czasu do czasu częstować nadal kostką

cukru lub marchewką. Rżał zawsze cicho witając mnie, gdy wchodziłem do stajni.

Ubytki w zdekompletowanych parach fornalskich i brak kilku fornali powołanych do wojska spowodował spore perturbacje w organizacji prac polowych. Zwłaszcza dotkliwie dał się odczuć brak zmobilizowanego dworskiego kowala. Okazało się jednak, że jego pomocnik Janek dość skutecznie dawał sobie radę z kowalskimi problemami.

Tego dnia przybyli do nas samochodem z Krakowa pierwsi uchodźcy, krewni Mamy, profesorstwo Stella-Sawiccy z córką Jadwigą Markiewicz. Następnego dnia zjechała z bombardowanej Warszawy stryjenka Hanka z siostrą Marią Biełon i siostrzenicą Ritą Chałupczyńską. Kolejnego dnia kuzynka Ojca, ciotka Dąbrowska z dwójką dzieci. Narastała również z dnia na dzień liczba uciekinierów przemieszczających się wszystkimi możliwymi drogami z zachodu na wschód. Szli pieszo lub przemieszczali się pojazdami konnymi, nieraz z całym dobytkiem. Zatrzymywali się u nas, by się pożywić, wypocząć w parku, lub przespać się w stodołach. Nie na długo starczyły przygotowane na okrzęzne kwaszone ogórki i wędzona kiełbasa a kuchnia dworska była przez cały czas na pełnych obrotach wydając pożywne zupy i mleko lub herbatę do picia. Nie zapomnę również doskonale zorganizowanej kolumny ewakuacyjnej jakiegoś majątku ziemskiego, którą na pięknym wierzchołku prowadziła, otoczona sforą psów, elegancka właścicielka pani Karnocka. Po 17 września, nie było jej w powrotnej fali uchodźców, niemniej byliśmy pewni, że ta dzielna niewiasta na pewno nie dała się zagarnąć wkraczającej Armii Czerwonej.

Niepokojące komunikaty wojenne, jakie docierały do nas przez radio, przyćmił entuzjazm wywołany wypowiedzeniem Niemcom wojny przez naszych aliantów – Anglię i Francję. Liczyliśmy, jak się okazało naiwnie, że szybki francuski atak od zachodu odciąży nasz front, bowiem Niemcy będą zmuszeni do przesunięcia na zachód części sił walczących w Polsce. Liczyliśmy również, że dostawy alianckiego sprzętu wojennego przez Rumunię wzmocnią naszą armię.

Osobiście byłem pełen dziecinnej wiary w męstwo naszych żołnierzy i ich zwycięstwo do 6 września. Tego dnia zastaliśmy w parku dwóch wojskowych: starszego już porucznika i młodego podchorążego.

Byli zarośnięci, brudni, bez pasów i broni. Najbardziej jednak utkwił mi w pamięci sosnowy, taki niedawno wyłamany w lesie kołek, którym porucznik się podpierał oraz jego pełne rezygnacji spojrzenie. Na ten widok coś się we mnie zupełnie załamało i dopiero wówczas uświadomiłem sobie, że istotnie z Polską jest bardzo źle. Jakże od tych rozbitków z bitwy pod Iłżą, bo za takich się podawali, różniło się kilka grup oficerów, którzy pod koniec września i w październiku przedzierałi się na Węgry. W pełni umundurowani i uzbrojeni zjawiali się zwykle nad ranem, cały dzień wypoczywali a o zmroku z przewodnikiem ruszali dalej na południe. Zwłaszcza utkwiła mi w pamięci grupa kawalerzystów. Elegancy, piękni, tryskający energią i optymizmem. Po kolacji jeden z nich siadł przy fortepianie i zaczął grać. Pozostali porwali nasze panie do tańca. Gdy zjawił się przewodnik był „Jeszcze jeden mazur dzisiaj”. Za chwilę już ich nie było. Ubrani w długie peleryny roztopiali się w mroku jak jacyś tajemniczy mnisi. Nabrałem wówczas pewności, że póki tacy istnieją, nie wolno tracić nadziei. Dzisiaj po tylu latach, gdziekolwiek słyszę mazura, niezmiennie stają mi przed oczami. W pamiętniku siostry został po nich trwały ślad – wpis z datą i podpisami.

Po 6 września, gdy front na moment zatrzymał się na Wiśle, fala uchodźców nagle znikła. Natomiast, gdy walki przesunęły się na wschód, pojawiła się fala powrotna. Wśród wracających, zrezygnowanych ludzi widać było młodych mężczyzn w dziwnych strojach, często w nie pasujących marynarkach o przykrótkich rękawach lub w kusych spodniach.

Odgłos toczących się bliżej lub dalej walk słychać było do pierwszych dni października. Nie przerwał ich nawet najbardziej ponury z ponurych dzień 17 września rozpoczynający najazd na Polskę bolszewickich hord. Po nim napłynęła nowa fala uchodźców. Niektórzy z nich opowiadali mrozące krew w żyłach okropności. W tej fali uchodźców zjechali do nas wujostwo Gumowscy z dwójką dzieci. Przywiózł ich samochodem ich przyjaciel p. Brożyna. Wuj Janek administrował należące do Radziwiłłów wielkie gospodarstwo rybne na Polesiu koło Dawidgródka. Z Kiwerc na Wołyniu przybył szwagier Mamy Stanisław Wolicki wraz z kilkuletnią bratanicą Danusią. Mniej więcej w tym samym czasie dotarła do nas hiobowa wiadomość, że Niemcy cofają się za Wisłę

a nasze tereny obejmują bolszewicy. Wówczas, z dnia na dzień docierały do nas co raz bardziej złowieszcze wieści, że w Kraśniku Żydzi budują dla bolszewików bramę powitalną a koło Moniak pojawiły się jakoby bolszewickie czołgi itp. Później wszystko ucichło, uciekło, ale odwlekło się jedynie do lipca 1944 roku, kiedy, to co się miało stać, stało się.

Którejś nocy po 20 września rozformował się na jednym z naszych pól tabor jakiejś polskiej jednostki wojskowej. Ślady wozów były liczne. To co wojskowi pozostawili, rozebrała okoliczna ludność. Do dworu dotarły jedynie dwie skrzynki z różnymi pomieszanymi i do tego nieoznakowanymi tabletkami. Ojciec umówił się wówczas z naszym bliskim krewnym Stasiem Boduszynskim z sąsiedniego Radlina licząc, że jako świeżo upieczony lekarz, pomoże w identyfikacji tabletek. Gdy w ciągu kilku dni Staś się nie pojawił, zadzwonił ponownie do Radlina. Dowiedział się wówczas, że Staś przy przekraczaniu granicy węgierskiej został aresztowany i osadzony w więzieniu Gestapo w Nowym Sączu. Niezadługo nadeszła z Oświęcimia urna z jego prochami. Zmarł jakoby na zapalenie płuc. Była to w naszej najbliższej rodzinie pierwsza tragiczna ofiara wojny. Pogłoska, że podczas likwidacji taboru żołnierze zakopali gdzieś w pobliżu broń, skłoniła nas w 1943 roku do długotrwałych nocnych poszukiwań – niestety, nie przyniosły one żadnych rezultatów.

Pierwszych Niemców zobaczyłem dopiero w ostatnich dniach września. Sprowadził ich Ojciec z sąsiedniej Kępy, gdzie kwaterowali. Zrobił to na wyraźną prośbę ukrywającej się w naszym dworze grupy oficerów komendy Policji Państwowej w Kaliszu, którzy chcieli się wreszcie komuś poddać i złożyć broń. Opatrzność zatrzymała ich u nas przed dalszym marszem na wschód, czyli nieuchronnie w kierunku Ostaszkowa, a tam śmierci z kulą w potylicy. Mieli szczęście! Rozbrajało ich dwóch niemieckich kawalerzystów przybyłych na rosłych karych koniach, którzy nie licząc, powrzucając pięknie lśniące pistolety i rewolwery do torby na obrok, odmówili wydania pokwitowania i odjechali. Jeden z nich – mówiący dobrze po polsku – zapewne Ślązak – powiedział do mnie przy odjeździe: „Synek ucz się szybko niemieckiego”. Tej rady nie potraktowałem poważnie, natomiast pomyślałem naiwnie, że może policjanci nie wszystko oddali i ukryli w parku ja-

kąś broń. Myszkowałem zawzięcie, ale poza garstką amunicji ukrytej w krzaku piwonii, nic więcej nie znalazłem.

Jeszcze przed końcem września zaczęły się ukazywać dwujęzyczne, niemiecko-polskie Bekanntmachungs podpisywane chyba początkowo przez OKW der Wehrmacht. Treść ich zawierała same nakazy i zakazy, których nieprzestrzeganie z reguły groziło śmiercią. Między innymi wprowadzały zakaz posiadania wszelkiej broni i amunicji, radioodbiorników, samochodów, motocykli oraz wszelkiego rodzaju mienia wojskowego. I tak pewnego wrześniowego dnia, z braku benzyny, koniki zaciągnęły naszego leciwego zielonego forda na posterunek wojskowy w Chodź. Wcześniej Ojciec włożył do niego nasz radioodbiornik, dubeltówkę, dwa sztucery i mój małokalibrowy flower, z którym żegnałem się ze łzami w oczach. Po naszym fordzie przysła kolej na eleganckiego, prawie nowego, czarnego bücka p. Brożyny. Doholowany do posterunku wzbudził podobno zachwyty jego załogi z dowódcą – kapitanem włącznie.

Zaczęli opuszczać nasz dwór uciekinierzy. Najpierw wyjechali do Krakowa p.p. Stella-Sawiccy z córką, następnie wyjechała do Warszawy Ciotka Dąbrowska z dziećmi. Na ich miejsce trafili wysiedleni już przez Niemców brat Mamy Władysław Berezowski z żoną, teściową i szwagrem. Do stołu siadało wówczas blisko trzydzieści osób. Taki stan domowników utrzymywał się u nas przez całą okupację.

Już nie wiem czy pensja p. Papieskiej była czynna, ale do Lublina nie wyjechałem. Edukacją moją i mojej siostry zajęła się Rita Chałupczyńska, która była świeżo po maturze w renomowanym liceum Gepnerówny w Warszawie. Programy nauczania przerabialiśmy przy jej pomocy w domu, natomiast na egzaminy końcowe przeprowadzane na tajnych kompletach prowadzonych przez Siostry Urszulanki jeździliśmy rokrocznie do Lublina.

Rozpoczęły się długie, szare okupacyjne dni urozmaicone napływającymi ciągle ze wszystkich stron wiadomościami o aresztowaniach i śmierci bliskich i znajomych, łapanekach, wywózkach na roboty, pacyfikacjach a do tego długo nieprzerwanego ciągu niemieckich sukcesów militarnych na wszystkich frontach. Pozostała jedynie wiara, że te długie okupacyjne dni, kiedyś jednak z pomocą boską się skończą.